

I stało się. Poranek tchnął nieco płomienia, triumfowały pozytywne uczucia. Latająca maszyna z początkującą pisarką na pokładzie nabrała prędkości i opuściła Gdańsk. Pogoda tego dnia rozpieszczała, była doskonała widoczność. Świat za oknem samolotu długo cieszył oczy pięknem. Z czasem zaczęło brakować drzew, żywnych pól i wijących się rzek, a ziemia wydała się tak monotonna i żałosna. Zapewne, dlatego, że była obserwowana z nieba.

- Świat nie może żyć bez odpadów, zróbcie im miejsce. Źródełka wysychają. Trwa walka na śmierć i życie cywilizacji z naturą. Tej pierwszej wydaje się, że robi wszystko jak trzeba. Druga przegrywa. W świetle faktów siła perswazji słabnie. Czy zamknąć oczy? Trzeba to poczuć i coś z tym zrobić. Jesteśmy braćmi w ignorancji. Iluzja pogania iluzję. Czy ta wiedza jest komuś potrzebna, by zrozumieć trzeba sięgnąć trochę głębiej – szeptała.

Poczuła na twarzy promienie słońca i odetchnęła głębiej.

A za oknem samolotu krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie. Smutny widok - nic oprócz suchej ziemi pokrytej, piaskiem, żwirem i skałami. Rzadko błyskał kontur jakiegoś miasta, drogi wyglądały niczym ślady paznokcia na pustyni i te bezkresne płachty migocącej w ostrym słońcu morskiej wody.

- To dzieje się naprawdę...

Czas zwijał się w kłębek, a ona leciała dalej. Po pięciu godzinach lotu z postrzępionych chmur w kolorze brzoskwini wyłoniła się nieruchoma kraina. Z każdą minutą brała dziewczynę w posiadanie. To za sprawą czaru gór Wysokiego i Średniego Atlasu z kępkami zieleni, z lotu ptaka przypominający pomarszczoną skórę starego człowieka i kilometrów kwadratowych bezkresnej pustyni w odcieniu mokrej terakoty. Wydawało się, że pokocha Maroko, w tamtej chwili, w tamtej odświeżonej. Spełnienie najskrytszych marzeń, kto wie? Może powinna zrobić wcześniej ten krok, z udziałem lub bez udziału nieba.

- Najwyższy czas wyprostować kręgosłup, ruszyć w nieznaną, porzucić pisanie opowiadań do poczytania przy porannej kawie. Nowe wyzwanie? Kompromis? On zawsze pozostawia niedosyt – myślała przekraczając powietrzne granice. Przechodziła powoli na ciemną stronę mocy, nie zdając sobie z tego sprawy. Czy Allah mówi prawdę? Podróże kształcą, bywają niebezpieczne. Chyba nikt jej nie zerwie paznokci, nie zdąży do Chin i nie utnie jej, głowy, gdyż nie handluje bronią. Nie można poddawać się emocjom, by poznać i uwierzyć czasem trzeba dotknąć posmakować. Maroko żyje w godności, to ciekawa kraina, ale mniejsza o szczegóły, o nich napisze potem.

Na lotnisku w Rębiechowie stawiałam się punktualnie, więc skąd ta przedziwna trema. Wiem, nigdy nie budzę się cała. Jakaś część mnie uporczywie trzyma się snu. Kończyny z trudem się poruszają, brakuje słów. Czasami nie wiem jak się nazywam.

- Im jaśniejsza jasność tym ciemniejszy mrok. – To ulubione powiedzenie mojej babci.

Przypomniałam je sobie w odpowiednim momencie, ale czy było adekwatne do sytuacji?

Na pokładzie startującego samolotu moja osobowość wracała do normalności w swoim rytmie. W jakimś momencie zawsze odkrywam, że w końcu jestem sobą. Ten lot nie był wyjątkiem od reguły. Upewniłam się, że mam przy sobie czarny plecak, wszystkie dokumenty, no i książkę. Tym razem moja świadomość podpowiedziała jednoznacznie, że jest zbyt ciężka i zabiera za dużo miejsca w podręcznym bagażu. Wybór tej książki raczej nie był dziełem przypadku, raczej światłością w ciemności młodego jestestwa. Jej tytuł powinien brzmieć – „Przemyśleć siebie”?

Przed oczami miałam twarz ojca i jego cenne rady. Były jak otwarte drzwi, weszłam przez nie w długą ulicę wspomnień. Dokąd mnie znowu zaprowadzi? Przez pierwszy kwadrans lotu nękał mnie niepokój, nie mogłam wysłać SMS –a do mamy. - To trochę daleko - pomyślałam. Nie miałam wyboru, podążałam za głosem ojca. Był ledwo słyszalny, tak jest z głosami dochodzącymi do nas z zaświatów.

W Gdańsku puste miejsce tuż przy mnie zajął przystojny, śniady mężczyzna. Siadając trącił mnie niechęć łokciem. Zobaczyłam go na tle błękitnego nieba. Miał dwa metry wzrostu, był tak zarośnięty, że pod brodą i długimi włosami prawie zniknęła jego twarz. Dzięki okularom w czarnej oprawce i delikatnie zarysowanym ustom robił wrażenie dystygowanego i urodziwego. Mój typ faceta! Wyjął z torby grubą teczkę i położył sobie na kolanach. Otworzył ją palcem wskazującym i zajrzał do środka. Chciałam zwrócić na siebie jego uwagę, gwałtownie upuszczając książkę. Rzucił się, by ją podnieść, wtedy na jego szyi dojrzałam śnieżnobiałą koloratkę.

- Poświęcił życie Bogu, niestety. Szach i mat – pomyślałam.

W podziękowaniu posłałam mu promienny uśmiech, nic więcej.

- Nicholas – przedstawił się krótko. - Jestem niewolnikiem Twojej wiary, Pani...

- Skąd wiedział? Moi przyjaciele mówią: „jesteś z piekła rodem.” Przed wyjazdem zmieniłam kolor włosów, nie chciałam być dłużej ruda, to źle się kojarzy.

- Popeliłem wiele błędów, opuszczam Polskę i wracam do mojej ojczyzny. Rzadko ją odwiedzałem. – kontynuował.

Mówiąc to zawahał się na moment. Czułam, że zaraz rozpadnie się, prawdopodobnie ze smutku. Miał w oczach łzy. Siedziałam jak na szpilkach. Osłonił policzki kołnierzem marynarki, żeby nikt tego nie zauważył. To wprowadziło mnie w zakłopotanie, myśli kłębiły się w głowie. Śmieszne... A ocean pod nami iskrzył się w słońcu.

- Ojcie, to kara? Ucieczka? Liczysz na cud?

- No niezupełnie, świat jest mroczny i nic na to nie możemy poradzić. ON mnie wysłuchał, pokazał drogę. Kiedyś się może jeszcze spotkamy, to ci o sobie opowiem. Moja wiara radykalnie się różni od nauki. Lepiej mi powiedz, co czytasz?

- „Przemyśleć miasto”

Nie umiałam, nic więcej z siebie wydusić. Skinął głową. Uśmiechnęłam się zagryzając wargi.

- Boże, miej ją w opiece – powiedział suchym głosem i zamilkł, jakby speszony swoją otwartością.

Zadrżałam.... Dwadzieścia słów, naszej rozmowy poruszyło moją ruchliwą wyobraźnię. Domysły wlokły się za mną przez kilka dni.

Chyba niespodziewanie dla czytelników straciłam głos, wsadzając nos we wspomnianą wcześniej książkę. Wrzuciłam ją do plecaka w ostatniej chwili, jeden diabeł wie, po co. Niesłusznie dopatruję się we wszystkim magii i sił nadprzyrodzonych. Natura zmusza nas do naturalnego wzrostu, dojrzałości jak drzewa. Niektóre z nich ewidentnie wybierają sobie banana na model pnia. Dołem rosną straszliwie krzywo i tak wyglądają. Dopiero później decydują się rosnąć w górę, do samego nieba, rozpychając się okropnie. Gwiżdżą na dobre maniery i najwyraźniej nie są w tym osamotnione.

Album, który spoczywał na moich kolanach był mi szczególnie drogi z wielu względów, mówi o bliskiej mi osobie i moim rodzinnym mieście. Gwoli wyjaśnieniu: obok sążnistych artykułów na temat zadań pisarza, sztuki reportażu, doniesień o tym, co robią Amerykanie i Niemcy, i jak kwitnie literatura w naszym kraju, po zgrabnym ominięciu zasad selekcji i doboru historycznych tekstów o dumnym Gdańsku, staraniem Fundacji Karrenwall w Gdańsku, Wydawnictwo VIA z siedzibą w Toruniu wydało wspomniany album. Nie mogłam się go doczekać. Potem oglądałam go kilka razy, nigdy nie mając dość.

Z licznych przekazów znamy historię odbudowy Warszawy, ale dotąd nie słyszeliśmy o odbudowie Gdańska.

Opasła, bogato ilustrowana książka przedstawia obraz zniszczonego wojną miasta i losy powojennej odbudowy, w oparciu o archiwum bezcennych fotografii mojego wuja Kazimierza Lelewicza. Artysty fotografika, skromnego współtwórcy Wileńskiego Towarzystwa Miłośników Fotografii, które zajmowało się propagowaniem fotografii, jako odrębnej dziedziny sztuki. Archiwum o Gdańsku z tamtych czasów to około trzy tysiące negatywów i blisko tysiąc odbitek. Ogromna, mozolna praca. Historia powojennej odbudowy Gdańska jest wyjątkowo bogata, to wiedzą nieliczni znawcy przedmiotu. Poznawałam ją wcześniej, jeszcze niemowlęciem będąc. Rodzice mnie nieustannie nią raczyli, używali jej zamiast obiecanej bajki na dobranoc. Zaległości w czytaniu, musiałam nadrabiać potem przez długie lata sama, z latarką pod kołdrą, chowając się przed surowym wzrokiem taty, stąd te okulary. Historia Gdańska wyssana z mlekiem mamy została we mnie do dziś. Pogłębiły ją liczne szkoły i z zapalem studiowana na Politechnice Gdańskiej, architektura. To była teoria. Praktykę odbywałam w domu, rodzinnym i nie tylko tam. Terminowałam w pocie małego czoła, u wuja Kazimierza, w zabytkowym domu po drugiej stronie ulicy. Łatwo nie było. W każdym kącie wielkiego mieszkania straszyły sterty zdjęć i dziwnych, wielkich negatywów, wszelkiej maści aparatów fotograficznych i innej fachowej aparatury. Dla małej dziewczynki atmosfera domu wuja była ciężka. Omszałe regały z bezcennymi książkami, oblepiające ściany pokoiów, aż do wysokich sufitów, przerażały ogromem i ciężarem skrywanych tajemnic. Na ścianach wisiało mnóstwo olejnych obrazów, autorstwa ciotki malarki. W miejscu salonu, rozsiadło się wielkie laboratorium fotograficzne. Odurzało nozdrza smrodem gromadzonych, chemicznych odczynników i farb. Na dodatek, wuj Kazimierz zabierał mi mamę. Długo po wojnie, gdy miasto było jeszcze nieruchomą ruiną całymi dniami, biegali oboje po Śródmieściu Gdańska, z kilkoma obiektywami i statywami niedbale przewieszonymi przez ich ramiona. Towarzyszył im dziwny zapach, był im niezbędny, do uwieczniania sz-

częśliwie zachowanych szczątków placów, ulic, domów i starych fortyfikacji. Katakлизм drugiej wojny światowej zagroził ich istnieniu, większości odebrał życie i duszę. Przetrwały tylko budowle o najgrubszych murach, niektóre bramy, wieże i baszty zabytkowych fortyfikacji. Poranione budowle pamiętały swój przedwojenny kształt. Przechodnie patrzyli w puste okna wypalonych domów, zwalone barokowe portale, strzaskane gotyckie kolumny i zwały średniowiecznej cegły. Fotografie pokazują wyraźnie, że najbardziej trwałym zapisem miejskiej tożsamości jest jego rozplanowanie. Wuj chciał zapewne zwrócić potomnym, widok palącego się dachu, największej w Europie, gotyckiej, ceglanej Katedry Mariackiej, ulic Starego i Głównego Miasta; nostalgicznych przedproży ulicy Mariackiej, kamienic ulicy Tkackiej i Długiego Targu, nie wspominając o Ratuszu Głównego Miasta z barokową wieżą i trawionego ogniem, bezcennego zespołu renesansowej Wielkiej Zbrojowni. Po heroicznej pracy w trudnym terenie, wśród ocalałych szczątków dumnego miasta, mama i wuj zmęczeni wrażeniami, miotali się wraz kolegami do późnej nocy, w ciemnym, domowym laboratorium. Dla małej dziewczynki, która w międzyczasie, dziwnym trafem pojawiła się na tym świecie zwykle zostawało niewiele czasu, musiała sama bawić się historią, gdyż lalek nigdy nie lubiła.

Historia mego miasta zawsze wywoływała we mnie nieustającą ciekawość, a tamte odległe czasy pokorę. Są pytania, na które do dziś nie znalazłam odpowiedzi.

Mój wuj miał wiele pasji. Pozostałych jego dokonań nie dokumentują przepastne zbiory Muzeum Miasta Gdańska. Zawiera je jedynie odziedziczony po przodkach, gruby, rodzinny album, do którego tak lubię zaglądać. Wuj, jak przystało prawdziwemu artyście, malował aparatem fotograficznym oprócz krajobrazów także piękne portrety. Wdzięcznym obiektem jego obserwacji, była jego piękna żona, uznana malarka o wdzięcznym imieniu Maria oraz jej białe, opasłe koty. Jeden taki portret wisi oprawiony w gustowną ramkę, na ścianie mojej sypialni, dając natchnienie, nie tylko do pisania. Wieczorem, przy świecach portret ciotki sypie gęsto wspomnieniami, tamtych, odległych, ciekawych czasów. Patrząc w rozmarzone oczy ciotki, wzruszam się nieustannie. W jej oczach, płonie samotna świeczka, widziana listopadowym wieczorem, na grobie wujostwa, położonym przy głównej alei wrzeszczańskiego cmentarza Srebrzysko. To niezwykle skromna i prawie zupełnie zapomniana mogiła.

Coś w nas wysycha, gdy armia masek wędruje splątanymi ulicami, a zegary cofają się do starych ran, zwalają z nóg, rozśmieszając Pana Boga.

Nagle poraziło mnie światło, dziwne doznanie, niespodzianie wpadło do samolotu. Cóż za intensywność! Głos pilota zaanonsował, że lądujemy.

Po trwającej pół dnia podróży, na lotnisku Al Massira położonym dwadzieścia dwa kilometry od Agadiru moja bohaterka wystawiła stopę z samolotu. Ojciec Nicholas towarzyszył jej do drzwi.

- Spotkamy się? - Zapytał na pożegnanie.

- Kto wie? – mruknęłam.

Przyjrzał mi się uważnie. Odwróciłam się, rozważając wybór między prawdziwą odpowiedzią a taką,

która położyłaby kres tej rozmowie. Nie zdecydowałam się na szczerość. Cóż miałam mu odpowiedzieć? Oto, co myślał mój trzeźwy umysł. Dziś, z perspektywy czasu żałuję.

W terminalu przystosowanym do obsługi trzech milionów pasażerów rocznie, ogarnęło mnie tchnienie wyśnionej krainy, pieszcząc uszy, muskając wargi. Byłam pewna, że przez ten dotyk Maroko oferuje mi ucisk na powitanie. Było gorąco, jednym tchnieniem odczarowałam zimę.

O wrażeniach z Maroka moja bohaterka opowie później, nim minie czar wspomnień. To będzie jej pierwsza, poważna próba literacka, rysuje nieśmiało plany. Piszac pójdzie za głosem serca, kierując się niewielkim doświadczeniem i intuicją. Prawdziwa podróż zawsze polega na konfrontacji wyobrażeń z rzeczywistością. Zwykle lokuje się między tymi dwoma światami. Być może przeżyje rozczarowanie, lecz okaże się ono bogatsze, bardziej owocne niż prosta relacja.

Św. Augustyn mówił: „Kochaj i rób, co chcesz.”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JOLA S., dodano 05.01.2017 11:41

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.